

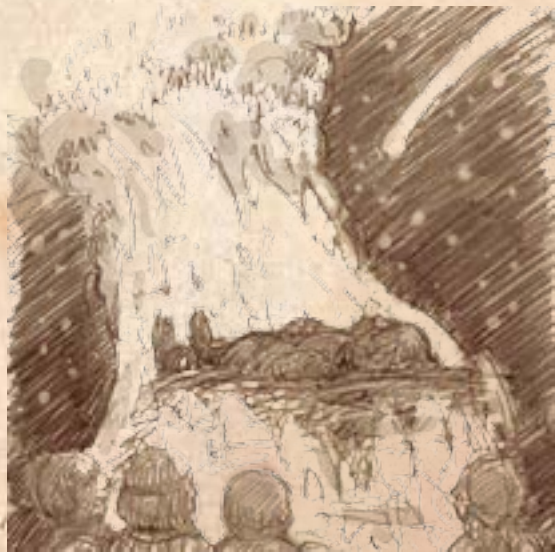
BESTIARIUSZ SŁOWIAŃSKI



Paweł Zych Witold Vargas

BOSZ

AITWAR to litewskiego pochodzenia duch domowy, który w zamian za ciepły kąt do spania i codzienną porcję stawy znosił swym gospodarzom do chałupy różne dobra. Miał dziwną postać małego skrzydlatego węża z głową ptaka i rozłożystym ogonem, przywodzącym na myśl wyliniałą miotłę. Każdej nocy aitwar zrywał się ze swego legowiska, ulatywał przez komin i znikał na długie godziny. Krążył nad wsią, żarząc się słabym światłem. Upatrzyszy sobie jakieś gospodarstwo, wlatywał tam bezszelestnie i kradł to, co wpadło mu w oko – nie był przy tym wybredny; brał zboże, pieniądze, domowe sprzęty, ale także siano, kartofle lub koniczynę. Kiedy aitwar szybował obładowany towarem z powrotem do swych opiekunów, dyszał ciężko, a z jego kity sypały się tysiące iskier. Upodobało go to do spadającej gwiazdy, dlatego chłopci, widząc owo zjawisko astronomiczne, zawsze żegnali się znakiem krzyża. Wierzyli, iż to pierzasty demon powraca właśnie z udanej złodziejskiej wyprawy.



Spadające gwiazdy wiązano nie tylko z postacią aitwara. Ludzie mieli wiele wyjaśnień dla tego zjawiska. W pogańskich czasach wierzono na przykład, że każdy człowiek ma swoją, tylko jemu przypisaną gwiazdę, która spada z chwilą śmierci właściciela.



ANIOŁY to istoty duchowe żyjące w niebie, schodzące na ziemię tylko wtedy, gdy mają wypełnić zadanie wyznaczone im przez Boga (greckie *ángelos* znaczy „posłaniec”). Choć zgodnie z nauką Kościoła katolickiego nie posiadają one ani ciała, ani tym bardziej płci, nasi przodkowie wyobrażali je sobie jako niezwykle urodziwych, uskrzydłonych młodzieńców o jasnych włosach i błękitnych lub białych szatach.

Pomimo swej łagodności i dobroci anioły nie zdobyły sobie wśród mieszkańców dawnej Polski zbyt dużej popularności. Owszem, pojawiały się czasem podania o tym, jak te niebiańskie istoty ostrzegały kogoś wyjątkowo pobożnego przed nadchodzącym kataklizmem czy napominały jakiegoś szczególnie krnąbrnego grzesznika, by się opamiętał. Prawdą jest też, że żadna szanująca się grupa kolędników nie obeszłaby się bez postaci anioła. Ale gdzież tam – jeśli chodzi o popularność – aniołom do ich złych kuzynów – diabłów. Tych zawsze i wszędzie było pełno. W opowieściach, podaniach, legendach i w sprośnych przyspiewkach roił się kolorowy tłum upadłych aniołów o setkach różnych imion. Cóż, w końcu nie od dziś wiadomo, że zło sprzedaje się dużo lepiej niż dobro, a diabeł ma rewelacyjny „piar”.



Lud wierzył, że anioły przybierają czasem postać skowronków, dlatego darzono te ptaki dużym szacunkiem i sympatią.



BŁĘDNE OGNIKI to dusze zmarłych
pokutujące na ziemi jako nieprzybierające konkretnych form światła.
Występowały na torfowiskach, podmokłych łąkach i cmentarzach.
Ich zimne, blade błyski dojrzeć można było z oddali, natomiast kiedy
ktoś chciał się do nich zbliżyć, natychmiast znikwały – a to dlatego, że
błędne ogniki pilnowały często swoich skarbów, zdobytych jeszcze
za życia (najpewniej w niegodziwy sposób – w końcu kto zdobywa
skarby uczciwie?). Nawet po śmierci były o swoje bogactwo zazdrosne.
Przy czym ogniki nie zachowywały się wobec ludzi agresywnie – nie
musiały. Plotka (która z czasem zyskała status prawdy), jakoby błędne
ogniki ukazywały się człowiekowi tuż przed śmiercią, skutecznie
odstraszała potencjalnych amatorów szybkiego wzbogacenia się.



CZAROWNICA to kobieta, która dzięki konszachtom z diabłem posiadała umiejętność rzucania czarów i uroków. Swoje magiczne zdolności wykorzystywała zazwyczaj przeciwko ludziom: poprzez zaklęcia, specjalne mikstury i napoje lub przez złe spojrzenie zsyłała na swoje ofiary choroby i nieszczęścia. Przywoływała gradowe chmury, odbierała krowom mleko i sprowadzała zarazę. Wszystko to robiła za podszeptem szatana. Z Lucyferem, swoim oblubieńcem, spotykały się czarownice regularnie na tak zwanych sabatach, czyli zlotach, organizowanych na Łysej Górze. W noc spotkania wiedźmy dosiadały miotły, ożoga czy chlebowej łopaty, smarowały swoje ciała specjalną maścią, wymawiały zaklęcie (np. „Płot nie płot, wieś nie wieś, a ty biesie nies”) i ulatywały kominem.

Na co dzień czarownica nie wyróżniała się niczym szczególnym spośród społeczności, w której żyła, jednak wtajemniczeni znali sposoby na to, by ją rozpoznać. Na przykład zwykła kobieta piła kieliszek wódki delikatnie, na trzy–cztery razy, a czarownica zawsze jednym łykiem. Czarownicę można też było zdekonspirować, zerkając na nią przez dziurę po sęku w trumiennej desce lub patrząc jej głęboko w oczy, w których zamiast odbicia światła, widać było dwie kozie głowy. Wszystkie te i inne sposoby miały na celu schwytanie i unieszkodliwienie czarownic, a następnie przekazanie ich pod sąd.

Proceder tropienia i palenia czarownic na stosach przywędrował do Polski w epoce renesansu prosto z Niemiec, nigdy jednak nie przyjął nawet w dziesiątej części takich rozmiarów, jak u naszych zachodnich sąsiadów... Oskarżenia o czary wносиły osoby prywatne i rozpatrywały je sądy świeckie (a nie kościelne, jak zwykło się uważać). Pierwszą czarownicę spalono w Polsce

w Chwaliszewie koło Poznania w 1511 roku. Ostatni zaś proces o czary, bardzo zresztą głośny, odbył się w Doruchowie w 1775 roku, kiedy to spalono czternaście kobiet.

Tortury były w tamtych czasach pełnoprawnym środkiem pozyskiwania materiału dowodowego, z czego skwapliwie korzystano, nie tylko zresztą w procesach czarownic. Okrutne „badania” podejrzanej przeprowadzać mógł tylko wykwalifikowany mistrz małodobry (czyli kat). Miało to, jeśli można tak powiedzieć, jeden pozytywny aspekt: jako że wynajęcie fachowca kosztowało sporo pieniędzy, które musiał wyłożyć oskarżyciel, każdy potencjalny oszczerca zastanowił się kilka razy, nim rzucił fałszywe oskarżenie...



CZARNOKSIĘŻNIK był to człowiek, który, tak jak czarownica, zajmował się magią. W przeciwieństwie jednak do swojej kobiecej odpowiedniczki, robił to w sposób naukowy. W młodości pobierał nauki u starszych kolegów po fachu, później kończył legendarną, mieszczącą się podobno głęboko pod ziemią szkołę dla czarowników, a po niej całe, trwające czasem kilkaset lat, dorosłe życie dokształcał się we własnym zakresie... W swych mrocznych komnatach studiował tajemne księgi, przeprowadzał szatańskie eksperymenty i odprawiał dziwne rytuały. W każdej czarnoksiężskiej pracowni roilo się od magicznych woluminów, manuskryptów, różdżek, lasek, powrozów, szklanych kul i luster. A wszystko to służyło nie tyle, by szkodzić ludziom, ale by umożliwić czarownikowi poznanie natury wszechrzeczy. Dla zaspokojenia ambicji gotowy był podpisać pakt z samym diablem. Z jego pomocą czarnoksiężnik zdobywał potężne moce, niewyobrażalne zdolności i rozległą wiedzę niedostępną zwykłym śmiertelnikom, ale tracił rzecz przy tym najcenniejszą – duszę. Był więc czarownik jaskrawym przykładem tego, że nawet godny pochwały pęd do nauki może okazać się zgubny w skutkach.

Najsłynniejszym polskim czarnoksiężnikiem był niewątpliwie pan Twardowski. Ów szlachcic żyjący w XVI wieku w Krakowie wykształcenie odebrał podobno w Niemczech, choć nie jest to pewne, bo przecież i nasza Akademia Krakowska w dobie odrodzenia oficjalnie kształciła znanych na całą Europę magów, alchemików i astrologów. Niemniej jednak to nie tytuł magistra, ale pakt z diablem zapewnił czarownikowi moc i sławę.

W zakrystii pochodzącego z początku XVIII w. kościoła pw. Wniebowzięcia NMP w Węgrowie na Mazowszu znajduje się zwierciadło, które prawdopodobnie pochodzi od sławnego Twardowskiego. Łaciński dwuwiersz zdobiący lustro w przekładzie mówi: „W tym zwierciadle Twardowski pokazywał czary; Bogu jednak należne oddawał ofiary”.



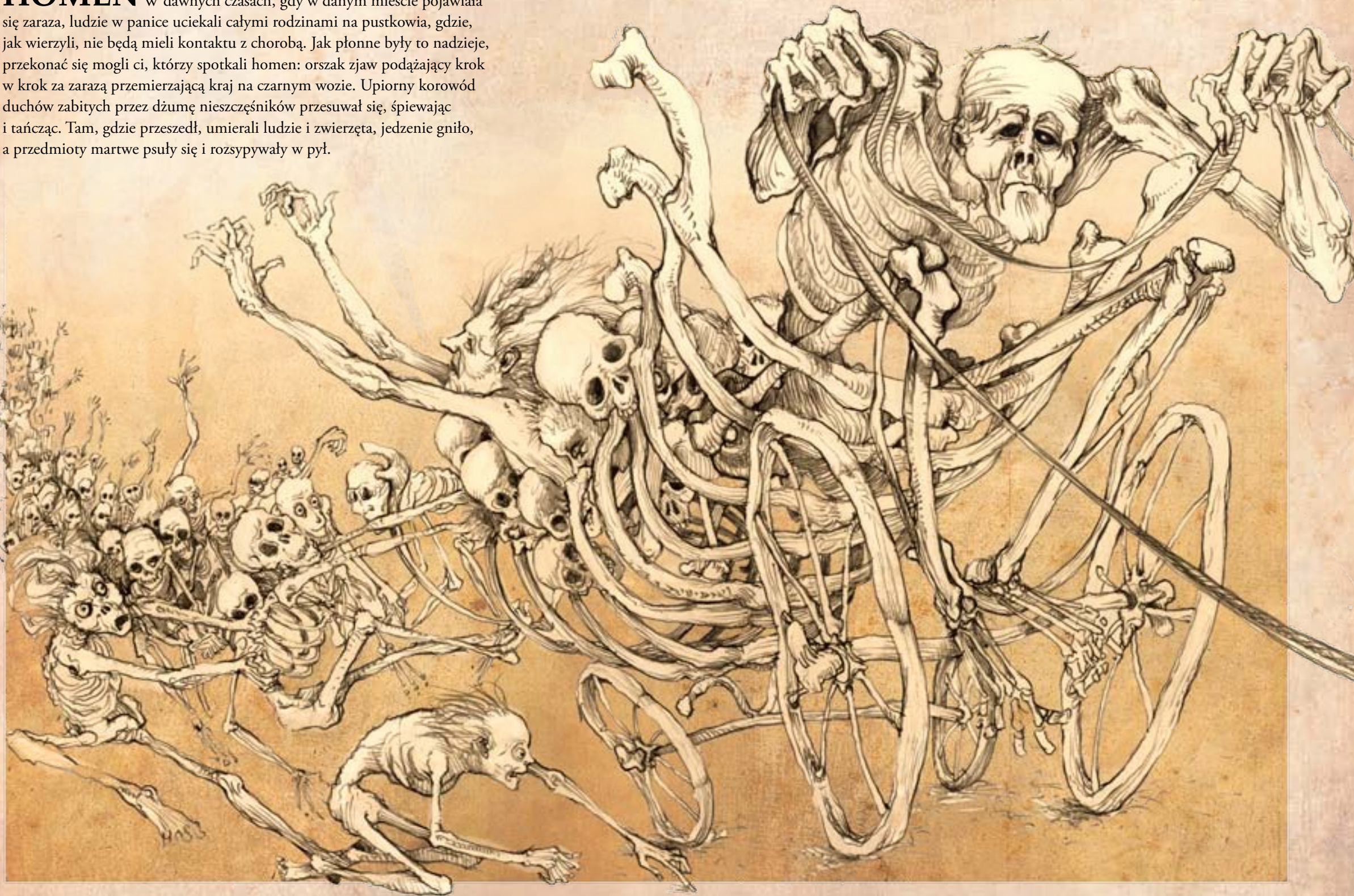
DUCH CZARNEGO PSA Z OGRODZIENCA to olbrzymi czarny ogar o wielkiej, zębatej paszczy i płonących ślepiach przemierza nocą okolice gotyckiego zamku w Ogrodzieńcu. To duch kasztelana krakowskiego, Stanisława Warszyckiego, pokutujący za bestialskie okrucieństwo wobec poddanych.



DUCH RYCERZA W PŁOMIENIACH W miasteczku Łagów nieopodal Zielonej Góry znajduje się gotycki zamek, w którym niegdyś rezydowali joannici. W burzliwe letnie noce pojawia się tam rycerz w czarnej jak smoła zbroi otoczonej wieńcem płomieni. To duch zmarłego w XVI wieku komandora łagiewskiego zgromadzenia – Andrzeja von Schliebena. Nie wiadomo, czym ów nieszczęśnik zasłużył sobie na wieczne męki. Niewiele w ogóle wiemy na temat jego życia. Jediną pewną informacją jest to, iż von Schlieben jako pierwszy zakonnik zgromadzenia joannitów wstąpił w związek małżeński. Czyżby więc sprawdziło się stare powiedzenie, że „gdzie diabeł nie może, tam babę pośle”?



HOMEN W dawnych czasach, gdy w danym mieście pojawiała się zaraza, ludzie w panice uciekali całymi rodzinami na pustkowia, gdzie, jak wierzyli, nie będą mieli kontaktu z chorobą. Jak płonne były to nadzieje, przekonać się mogli ci, którzy spotkali homen: orszak zjaw podążający krok w krok za zarazą przemierzającą kraj na czarnym wozie. Upiorny korowód duchów zabitych przez dżumę nieszczęśników przesuwiał się, śpiewając i tańcząc. Tam, gdzie przeszedł, umierali ludzie i zwierzęta, jedzenie gniło, a przedmioty martwe psuły się i rozsypywały w pył.



JĘDZA to demon, który pod postacią wysokiej, chudej i pomarszczonej baby o czarnych oczach, bezzębnych ustach i kobyłej nodze występował w lasach całej Słowiańszczyzny. W swym ruchomym domku na kurzej stopie przemierzała puszcze w poszukiwaniu ofiar – głównie bezbronnych dzieci. Wyjątkowo odpychający wygląd nie przeszkadzał jędzy w przywabianiu do siebie zagubionej w borze dziatwy; nie używała w tym celu żadnej specjalnej magii, lecz dużo skuteczniejszego wabika: słodyczy. Znęcone wizją nieograniczonego dostępu do łakoci szkraby łatwo dawały się uwięzić. W niewoli, karmione migdałami, bakaliami i rodzynekami, szybko przybierały na wadze, po czym kończyły jako przysmak na stole ohydneho demona. Wbrew pewnym utartym wyobrażeniom jędza nie miała zbyt wiele wspólnego z pospolitą czarownicą. Przede wszystkim nie była człowiekiem, lecz istotą demoniczną o sobie przynależnych cechach.



Najbardziej znaną jędzą była Baba-Jaga. Na Rusi wierzono, że mieszka w domku na kurzej stopie, a szukając swych ofiar, lata w wielkim moździerzu lub masielnicy.



LICHO to mała, kudłata, złośliwa istota przemierzająca puszcze, pola i gościńce dawnej Słowiańszczyzny. Nigdzie nie potrafiło lichu zagrześć na dłużej miejsca; zawsze było skore do psot i figli. Mąciło ludziom w głowach, wyprowadzając ich na bezdroża, tłukło i wywracało naczynia z jedzeniem, dosypywało popiołu do mąki, plątało koniom grzywy czy chowało różne domowe przedmioty w najmniej spodziewanych miejscach. Te drobne, zdawać by się mogło, psoty musiały być dla naszych przodków bardzo uciążliwe, skoro utrwaliłi oni postać licha jako złego ducha w tak wielu powiedzeniach: „Tam do licha!”, „Niech to lichu porwie!”, „Lichu wie”, „Lichu go nosi” i innych.





MIERNIKI były duchami geometrów, którzy za życia fałszowali pomiary pól, krzywdząc nieświadomych chłopów na rzecz bogatych panów. Po śmierci dusze urzędników musiały za karę błąkać się po ziemi; pod postacią mierników przemierzały pola i łąki, powtarzając w nieskończoność niesprawiedliwe pomiary. Poznać je można było z daleka po bładoniebieskim świetle, którym sobie przyświecały w tych wędrownkach. Mierniki nie bywały zazwyczaj agresywne wobec ludzi, a czasem wręcz im pomagały, na przykład przyświecając tym, którzy w ciemnościach coś upuścili. Można je było wezwać gwizdaniem; należało tylko pamiętać o tym, by za pomoc miernikowi grzecznie podziękować. Jeśli zaś demon zjawił się z kamieniem granicznym w rękach i pytał, co z nim zrobić, trzeba było odpowiedzieć: „Połóż go tam, skąd żeś go wziął”. Te słowa kończyły bowiem jego pokutę i wybawiały duszę nieuczciwego geometry od dalszych mąk.

NOCNICE to złośliwe demony rodzaju żeńskiego, uaktywniające się, jak sama nazwa wskazuje, po zapadnięciu zmroku. Wychodziły wtedy z leśnych kryjówek, siadały na gałęziach i cesały szyszkami swoje długie, skołtunione włosy. Czasem wzbijały się w powietrze i szybowały na swych błoniastych skrzydłach w poszukiwaniu ofiar. Lista niecných uczynków, jakich się dopuszczały wobec ludzi, była długa i zróżnicowana – jest na niej miejsce zarówno dla niewinnych psot, jak i dla ohydnych zbrodni. Wodziły więc nocnice pijaków na manowce i wpychały do błotnistych rowów albo obtańcowywały ich do utraty tchu, jednak potrafiły też zesłać na kobiety chorobę popołogową, zdeptać człowieka na śmierć lub udusić śpiące dziecko. Demony pojawiały się tylko wtedy, gdy słońce zachodziło krwawo, czyli jak mawiano dawniej: „na zażar”. Stąd popularna kiedyś była magiczna formuła ochronna mająca odpędzić demony od dzieci: „Zaże, zaże, zatyczki – weźcie memu dziecku nocnicki*”.

* czyli nocnice, nie zaś naczynia wiadomego przeznaczenia.



Nocnicą w języku staropolskim nazywano ćmę. W Polsce żyje ponad trzy tysiące gatunków nocnych motyli, z czego największy – zmierzchnica trupia główka – osiąga prawie trzynaście centymetrów rozpiętości skrzydeł.



POŁUDNICA była wyjątkowo niebezpiecznym polnym demonem znanym naszym słowiańskim przodkom. Powstawała z kobiety, która zmarła tuż przed własnym ślubem lub chwilę po nim. Poza tym że południca była zwykle odziana w biały strój, niewiele łączyło ją z wizerunkiem przeciętnej panny młodej. Chuda, koścista sylwetka, pomarszczona śniada skóra, usta wypełnione wielkimi, ostrymi jak noże kłami, żółte, skołtunione włosy czy wreszcie długie łapy zakończone pazurami – wszystko to sprawiało, że demon budził wśród wieśniaków przerażenie. Mieszkała południca wśród kłosów dojrzałego zboża. Niewielu śmiałków odważało się wyjść w pole w samo południe, wtedy bowiem opuszczała swą kryjówkę i przemierzała pola w poszukiwaniu ofiar. O jej obecności świadczyło delikatne falowanie kłosów. Człowiekowi napotkanemu przy pracy łamała kończyny, dusiła go, zsyłała paraliż i postrzał, a czasem widowiskowo urywała nieszczęśnikowi głowę. Zostawione bez opieki dzieci południca chowała do przepastnego wora i wynosiła do lasu, zabijała je od razu lub zakopywała żywcem pod miedzą. Jej inwencja w szkodeniu ludziom zdawała się być niewyczerpana, a okrucieństwo nie znało granic. Nic więc dziwnego, że kiedy wraz z zakończeniem żniw południca zakopywała się w ziemi i zapadała w sen zimowy, włościanie odczuwali niekłamaną ulgę i nieodpartą chęć do hucznego świętowania.



Czasami południca pojawiała się jako powietrzny wir. Jeśli pod tą postacią napotkała kąpiące się kobiety, mąciła im wodę i rozrzucała ubrania po okolicznych polach.



PORONIEC Ten skrzydlaty demon powstawał z martwego płodu, poronionego mimo woli bądź też spędzonego celowo. To małe, przypominające nieopierzonego pisklaka, zawistne stworzenie pojawiało się tylko nocą i atakowało wyłącznie ciężarne kobiety oraz położnice, wysysając z nich krew.

